

Pechowiec

Krewki watażka, Chryzostom Jerzy, zsiadł z chwackiej chabety. Zdjął jej obskurne chomąto i rzucił w trzciny. Zadzierzgnął węzeł na wodzach, spętał klaczy kopyta i szesał jej rzepy z grzywy. Później wytrząsnął z juków co nieco owsa. Przecieżby nigdy nie zostawił angloaraba bez obroku! Rozejrzawszy się z rozrzewnieniem, ruszył na wymarzone rybołówstwo. Niestrudzenie przedzierał się przez szuwary. Złowróżbnym pohukiwaniem przepędził niejednego bekasa kszyka czy żołą. Żaden drop, kobuz ani kulik nie odważył się zaglądnąć mu w oczy. Przebrnąwszy wzdłuż i wszerz przybrzeżne chaszczce, wyszukał ustronną mierzeję i raz-dwa zarzucił wędkę. Dla niepoznaki udawał zainteresowanie wokółksiężycową poświatą. I tak pół spał, pół czuwał. W ogóle nie przejmował się brzękiem krwiożerczych komarzyc. Ponieważ nie miał daru jasnowidztwa, a nie chciał podejmować pochopnych decyzji, postanowił czekać. Zrządzenie losu na pewno przewidziało dla niego nie najlichszy połów. Niepodobna było siedzieć o pustym brzuchu, wyjął przeto z sakwy gomółkę żółtego sera, gorzałkę bezalkoholową i kawał smażonego udźca jagnięcego. Po spożyciu licznych kalorii odświeżył się dezodorantem i nałożył na jedyną zdrową małżowinę uszną słuchawkę walkmana. Podówczas poczuł bluesa, odprężył się zupełnie... Nie zauważył nawet, że węgorz połknął haczyk wraz z wędką. Wreszcie zbudziły go ważki wygrzewające się na jego łysinie, z której osunęła się rdzawo ruda peruka. Chryzostom zhańbił się stratą sprzętu rybackiego, toteż chyłkiem czmychnął w gęste czeremchy i słuch o nim zaginął...